

Bieliński, Józef

Kraushar Aleksander, "Towarzystwo królewskie przyjaciół nauk, 1800-1832. Monografia historyczna osnuta na źródłach archiwalnych",
Kraków-Warszawa 1900-1905 :
[recenzja]

Przegląd Historyczny 1/1, 124-137

1905

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

Kraushar Alexander: Towarzystwo królewskie przyjaciół nauk 1800—1832. Monografia historyczna osnuta na źródłach archiwalnych. Kraków. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1900—1905. 8-o str. 407+318+338+408+476+501.

Stanisław Sołtyk pierwszy podał myśl założenia w Warszawie Towarzystwa przyjaciół nauk (t. I. str. 122). Myśl w szczęśliwą chwilę początku, przyjęła się i rozwinęła w poważną instytucję. Przyjaciele nauk zbrali się na pierwsze posiedzenie d. 23 listopada 1800 roku, nakreślili prawidłą postępowania (I. 341), wybrali prezesa i sekretarza i, niezwłocznie, rozpoczęli działalność swoją, bardzo chwalebna.

Król pruski przywilejem, wydanym d. 5 listopada 1804 r. (I. 276) zatwierdził byt Towarzystwa; król saski dnia 30 kwietnia 1808 roku (II. 102) nadał mu tytuł „Królewskiego“; — a cesarz Aleksander łaską swoją monarszą d. 27 marca 1816 (IV. 28), zapewnił dalszą jego egzystencję, co ostatecznie potwierdził cesarz Mikołaj w r. 1826 (VI. 242).

Za winy niepopelnione ¹⁾ Towarzystwo rozwiązane zostało w roku 1832. Zbiory jego wywieziono z Warszawy; pozostał tylko „pałac Staszica“, jako pamiątka ubiegłych dni; lecz i ten pałac, w ostatnich czasach przebudowany w stylu suzdalskim, zmienił się zewnętrznie i niczem już nie przypomina owego przybytku, gdzie sławni nasi dziadowie w poważnych rozprawach zastanawiali się nad podniesieniem dobrobytu kraju przez przemysł i handel, oraz nad podniesieniem kultury przy pomocy nauk i sztuki.

Powody, skłaniające garstkę ludzi dobrej woli do założenia Towarzystwa, wyjaśnił królowi Saskiemu prezes Albertrandi d. 8 grudnia 1807 roku: „Towarzystwo warszawskie przyjaciół nauk, którego deputacją widzisz Wasza Królewska Mość przed sobą, nietylko jest jednym z tych szczątków dawnej naszej ziemi, wyratowanym z ciemnej przeszłości otchłani, która nas pochłonęła, ale jeszcze tą zbawienną deską, na której, wydobywszy się z pośród okropności nieubłaganej burzy, dostaliśmy się do brzegu. Czego nie poważyli się uczynić Persowie, zwycięzcy Babilończyków, ani Grecy, podbicieli Persów, ani Rzymianie, panowie Grecyi, ani nawet Tatarowie z Indyanami i Chińczykami, to jest, że nie śmieli im odjąć imienia i języka narodowego, tegośmy, Polacy, za dni naszych doznali, my, których dawni królowie, w r. 1454, 1525, 1559 tyle wspaniałymi byli, iż ludom dobrowolnie, lub z mocy do Rzeczypospolitej naszej wcielonym, zostawili ich imię, język, prawa, religię, a nawet przesady. Przez niepojętą jakąś fatalność i niesłychaną w dziejach świata sprzeczność, postąpiono z nami wcale przeciwnie.

¹⁾ Kiedy Wielkopoleanie zakrzętnęli się około założenia w Poznaniu Towarzystwa przyjaciół nauk, zawiązała się korespondencja między naczelnym prezesem poznańskim, a księciem namiestnikiem Królestwa: jakiego charakteru było Towarzystwo przyjaciół nauk warszawskie, czy ono istnieje dotychczas, a jeżeli rozwiązane, to kiedy i dlaczego? Na żądanie Paskiewicza zdawał obszerną relację kurator okręgu naukowego o Towarzystwie, które, równocześnie z innymi zakładami narodowymi polskimi, zniesione zostało w r. 1832, a zajmowało się wyłącznie naukami; dla politycznych rozpraw nie było na jego posiedzeniach miejsca. Odpowiedzi Paskiewicza do Prezesa naczelnego W. Księstwa Poznańskiego nie czytałem.

Wydarto nam starożytne imię nasze, a narzucono imię narodu, będącego przez kilka wieków w liczbie holdowników naszych, narodu, którego naczelnikom nie chciano dać nigdy miejsca w senacie naszym. Mówiono do nas i usiłowano nas przymusić do mówienia językiem mało od nas rozumianym. Wszystkie rozkazy najwyższej władzy i wszystkie wyroki sprawiedliwości w tym języku do nas wychodziły. Im kto z nas lepiej potrafił zrozumieć ten język, tym na imię wierniejszego poddanego zasługiwał“....

„Taki był nasz stan oplakany, do którego nas przywieziono, gdy, zdjęci gorliwością o utrzymanie narodu naszego, który nam za zniszczony i w niwecz obrócony uważać kazano, o chwale przodków naszych, których zapierać się, przez skazanie ich na wieczne zapomnienie, za niegodną nas rzecz osądziliśmy, o nasz własny honor, aby nie powiedziano, żeśmy dopuścili zażrzebać w gruzach wszystko to, co niegdyś celniejszą było naszą ozdobą.“ (II. 71).

W dalszem przemówieniu przedstawia Albertrandi królowi, że głównym zamiarem Towarzystwa było doskonalenie języka narodowego, — o którym drugi z kolei prezes Towarzystwa, Staszic, w przemówieniu swem na posiedzeniu styczniowym 1814 roku mówi: „Język, równie jak ludzkie towarzystwa, nie są ani człowieka woli przedsięwzięciem, ani człowieka rozumu dowolnem wymysleniem, ale są jedynie wewnętrznej organizacyi ludzkiej koniecznym skutkiem.“ (III. 29).

Według Ustawy (I. 341. III. 285) Towarzystwo składało się z członków honorowych, czynnych, przybranych, korespondentów. Odbywało posiedzenia prywatne i publiczne pod przewodnictwem prezesa. Pod względem naukowym dzieliło się na wydziały: nauk, umiejętności i literatury; w końcowych latach wydziały rozpadły się na sekcye. Każdy z tych wydziałów miał swego prezesa.

Duszą Towarzystwa pod względem gospodarczym i administracyjnym byli Administratorowie, czyli dzisiejszy Zarząd, lub Rada. O tych administratorach, najważniejszych, podług nas, członkach Towarzystwa, spotykamy dwie tylko wzmianki w omawianem dziele (II. 119—VI. 310). W pierwszym wypadku przy podpisaniu kontraktu nabycia domów na Kanoniach (8. VIII. 1808); w drugim, gdy wniesiono na posiedzeniu wybór nowych administratorów.

Ponieważ autor tak często rozmaite, nawet mniej ważne kwestye omawia, a administratorów, jak wskazano, pomija i charakter ich przy owym podpisie redukuje do roli zwykłych delegatów, *ad hoc* z grona członków powołanych do asystowania w imieniu Towarzystwa, i to na jeden raz tylko,—wnoszę, że autor nie rozpatrywał szczegółowo Ustawy z r. 1800 i 1814. W pierwszej o administratorach wzmianki nie ma,—w drugiej art. 32 całkowicie im jest poświęcony i ważna ich rola szczegółowo omówiona. Ostatni punkt tego artykułu wyraźnie mówi: *urządowanie każdego z administratorów jest dożywotniem*; nie rozumiem przeto powodu szczegółowych wyjaśnień o obowiązkach administratorów (VI. 310). Z tego wszystkiego wnoszę, że nie miał autor w swem rozporządzeniu protokołu majowego 1808, na którym zapadło postanowienie, aby powołać administratorów i dokonać

ich wyboru. Oto właściwy dokument, który z oryginału przepisuję: „Towarzystwo Królewskie Warszawskie Przyjaciół Nauk.—Odebrawszy od Najjaśniejszego Pana uroczysty Akt potwierdzenia swojego i nader chlubny zaszczyt w nadanem sobie imieniu Towarzystwa Królewskiego, chcąc dalszą postanowić organizacją dla tem pewniejszego dopełnienia wszystkich obowiązków, które z nowo oznaczonych stosunków wynikać mogą, mianowało na posiedzeniu 29 b. m. (maj? 1808), stosownie do przepisów prawnych, z grona członków swoich czynnych WWJX. Xawerego Bohusza, Michała Bergonzoniego, Karola Kortuma, Stanisława Staszica, Andrzeja Horodyskiego,—Administratorami Towarzystwa, nadając im tę powagę i moc, oraz wkładając na nich te wszystkie obowiązki, jakie takowym Administratorom, bądź z przepisów prawa, bądź ze względu potrzeb Towarzystwa służyć mogą. Protokół sądownie sporządzony wspomnionego wyboru i mianowania Towarzystwo Królewskie z należnem uszanowaniem JWMinistrowi Spraw Wewnętrznych przesłała i tę ma pewną nadzieję, że JWMinister wyrażonych Administratorów nie tylko we wszelkich ku dobru Towarzystwa zmierzających krokach przed wszelkimi władzami rządowemi ciągle wspierać raczy, ale nadto, jako gorliwy naczelnik oświecenia ¹⁾, zaszczycać zechce czynną opieką i protekcją Towarzystwo, którego jedynym jest zamiarem stawać się w wydziale oświecenia narodowego coraz użyteczniejszym i ku temu celowi całą usilność swoją poświęcać. X. *Jan Albertrandi Biskup Zenopolit.*

Prezylujący“

Powyższe pismo jest bez daty. Minister Łuszczewski czytał ten papier d. 9 czerwca. Odtąd Administratorowie wszędzie i zawsze występowali w imieniu Towarzystwa w czynnościach gospodarczych. Pierwszem ich wystąpieniem była petycja do ministra, równocześnie z powyższym podana, o dochód ze stempla kalendarzowego na zasilenie szczupłych funduszów Towarzystwa. Rozwinęła się ciekawa korespondencya w tej materii pomiędzy ministrem spraw wewnętrznych, ministrem Skarbu i Radą Stanu—lecz dla braku miejsca przywoździć jej nie będę.

* * *

W chwili gdy zdawało się, że już wszyscy zapomnieli o istnieniu sławnego niegdyś i głośnego Towarzystwa, występuje z pierwszym tomem wspaniałej publikacyi, w tytule niniejszego sprawozdania wymienionej, wielce zasłużony na niwie piśmiennictwa polskiego pracownik, Aleksander Kraushar. Szczęśliwy to działacz nasz historyk, poeta, literat, mecenas! Wszystko mu się udaje. Pierwszy ów tom ogłosił drukiem w rocznicę pięćsetną założenia Akademii Jagiellońskiej, a w setną założenia Towarzystwa przyjaciół nauk.

¹⁾ Izba Edukacyjna, której przewodniczył prezes ministrów, stanowiła Wydział Ministerjum Spraw Wewnętrznych.

Trzeba rzeczywiście mieć szczęście, aby odnaleźć ważne, ciekawe, nikomu nieznanne, a przynajmniej przez nikogo nie wyszukiwane akta i protokoły Towarzystwa, aby pozyskać pozwolenie księcia Imeretyńskiego dla ich skopiowania. Z tego pozwolenia skwapliwie korzysta i swoim odkryciem dzieli się ze społeczeństwem, pozyskując sobie jego wdzięczność w szeregu pokoleń za tę obywatelską usługę.

Plan wydawnictwa bardzo zwykły. Autor-wydawca podzielił swą pracę na księgi. Księga dzieli się na tomy, tomy na części, części na rozdziały. Pierwszą księgę poświęcił czasom pruskim i zamknął ją w jednym tomie; księga druga, w dwóch tomach, opisuje dzieje Towarzystwa za czasów Księstwa Warszawskiego; księga trzecia, (dotychczas trzy tomy), obejmuje drugą połowę dziejów za czasów Królestwa Polskiego. Każdy tom zawiera czteroletni przeciąg czasu, dlatego dzieli się na cztery części; każdy zaś rozdział zamyka w sobie najczęściej sprawozdanie z jednego posiedzenia publicznego, prywatnego lub wydziałowego.

W podobnych wydawnictwach mamy dwa wyjścia: albo akta i protokoły podajemy w całości i w porządku chronologicznym, poprzedzając wydawnictwo przedmową i uzupełniając je koniecznymi przypiskami — wówczas otrzymuje czytelnik *Materyały historyczne*; albo, na zasadzie akt i protokołów, piszemy *Monografię historyczną*, umieszczając w dodatkach rzeczy najważniejsze.

Pierwsze wyjście wymaga tylko sumiennosci kopisty i nakładu pieniężnego; — drugie gruntownej znajomości przedmiotu i polotu artystycznego. Dobrze o tym warunku, jak należy pisać monografie historyczne, wie szanowny Autor, pisze bowiem: „większość monografii historycznych doby nowszej nie uwzględnia postulatu artyzmu, jaki winien górować w dziełach artystycznych, — za główne swe zadanie uważając gromadzenie faktów i cyfr, niewolnicze trzymanie się osnowy i formy źródeł, bez okraszenia ich barwą samodzielnych poglądów, stanowiących duszę każdego opowiadania historycznego“ (x. 43).

Jeżeli te ogólne, a powszechnie znane prawidła, zastosujemy do zajmującego nas przedmiotu, przekonamy się, że monografia historyczna, w ścisłym znaczeniu tego słowa, poświęcona Towarzystwu przyjaciół nauk, to praca olbrzymia, wymagająca wielkiego skupienia. Nie dosyć bowiem wiedzieć co robiło Towarzystwo Warszawskie (protokoły), ale należy przedstawić, jak wykonywało oną robotę (roczniki).

Dotychczas materyał naukowy, zamknięty w XXI tomach Roczników, doprasza się o krytyczne przejrzenie. Gdy to będzie dopełnione, łatwiej wówczas będzie można zaprzeczyć tym, którzy podkpiwali sobie z działalności Towarzystwa *quasi* naukowej; łatwiej będzie obniżyć poziom tego wygórowanego pojęcia o Towarzystwie, które jakoby pozowało na Akademię, uważając się za młodszą siostrę Akademii francuskiej; — ale, o tem wszystkim można będzie wówczas rezonować, w tym lub owym kierunku, gdy działalność Towarzystwa, że ją tak nazwę, zewnętrzna, w owych Rocznikach zawarta, będzie krytycznie wyświetlona.

Czy Szanowny Autor ostatnie tomy swego wydawnictwa poświęci syntezie, tego nie wiem; przeto w sprawozdaniu swem ograniczę się do tego, co mam przed sobą.

*

*

*

Rozpoczyna autor swe wielkie dzieło od obrazów Polaków i Polski w zaborze pruskim. Z dużym rozmachem wprawnego artysty przedstawia nam oplakany stan społeczeństwa, jego upadek ekonomiczny, moralny i niczem nie usprawiedliwiony oportunizm; z drugiej strony wykazuje dążenie rządu do zdemoralizowania nowych poddanych, do ich zubożenia, oglupienia, aby dojść tą drogą do celu głównego—germanizacji zupełnej, przy użyciu środków bezwzględnych, brutalnych.

Posługiwał się autor materiałem rękopiśmiennym z Archiwum tajnego berlińskiego ¹⁾, nie omijając współczesnych gazet i wydawnictw, opisujących ową epokę.

Naturalną koleją z takiego stanu rzeczy, jak go nam przedstawił autor, wypływa z łona społeczeństwa protest, przeciwko skierowanej ku niemu zagładzie. Protest ten to Towarzystwo przyjaciół nauk.

Po odmalowaniu tła, przystąpił autor do określenia działalności Towarzystwa, opisując każde posiedzenie w porządku chronologicznym, jak je znalazł w aktach. Dowiadujemy się, że rząd pruski liczył się z reformami, przez cesarza Aleksandra zaprowadzonymi na Litwie (r. 71), i dlatego najpierw tolerował działalność owych przyjaciół nauk, a następnie nawet ją zalecił, biorąc ją pod swą opiekę. Towarzystwo wiedziało, do czego dąży, a pierwszym jego krokiem było „zestrzelenie myśli w jedno ognisko“, owej myśli, rozproszonej bez należytego kierunku. Roczniki były pierwszym owocem tej czynności; świadczyły one poza Warszawą, że tu, w Warszawie, są, którzy działają — że ci wzywają ludzi dobrej woli do pomocy w pracy około podniesienia języka, narodowości. Jakoż na wezwanie przybywali, pomagali — i rozpoczęła się praca owocna, kulturalna, obywatelska.

Staszce urzęda własnym kosztem stałą siedzibę dla Towarzystwa „na kanoniach“ (r. 284); przeszkody z e strony Kamery pruskiej usuwa, a gdy się Towarzystwo osiedliło nareszcie, — członkowie w referatach swoich wysuwają na plan pierwszych język polski, jego słownik, wydawnictwa elementarne (r. 211). Gdy projekta utworzenia Uniwersytetu upadły, „rząd pruski starał się nadać liceum warszawskiemu wszelkie pozory instytucji narodowo polskiej (!)... instytucja ta pod pieczętowanym nadzorem kilku członków Towarzystwa przyjaciół nauk, składających tak zwany Eforat, istotnie nabrała wszelkich cech zakładu naukowego polskiego (!)“ (r. 295). Na słowa powyższe z autorem nigdy się nie zgodzę. Ani prusacy nie zdobyli się na zachowanie pozorów, ani instytucja ta za rządu pruskiego nie nabrała cech zakładu narodowego polskiego. Dość przeczytać: *Reglement für das Königliche Lyceum in Warschau. 1804. fol.*, aby się przekonać, że tu żadnych pozorów nie zachowano.

¹⁾ W archiwum Kuratora okręgu naukowego Warszawskiego znajdują się dwa wolumina poświęcone sprawie założenia uniwersytetu dla mieszkańców Prus południowych, aby odciągnąć młodzież od Krakowa. Jeden wolumen zawiera w sobie Ustawę przyszłego Uniwersytetu, podział na wydziały, katedry, program nawet nauk nie pominięty, etat; — słowem, brakuje tylko sankcji królewskiej i wyznaczenia miasta, gdzieby miał ten Uniwersytet być ulokowany. Są to projekta do praw, przepisane bardzo starannie i wysłane do Berlina, zkąd powróciły z adnotacjami ministra v. Klewitz.

Z konieczności początkowe klasy miały paralelle z językiem polskim, i to do czasu, mianowicie dopóki zamierzone szkółki miejskie i wiejskie z wykładem z niemieckim nie wejdą w życie. Gdyby rządy pruskie potrafiły chociaż kilka jeszcze lat, najgłębszy nawet badacz, ze szkiełkiem w rękę, nie doszukałby się owych „cech zakładu naukowego polskiego“. Regulamin z punktu pedagogicznego jest świetnie ułożony i zaszczyt przynosi referentowi; lecz równocześnie ten sam regulamin, odnośnie do dzieci polskich, jest zabójczym dla narodowości polskiej, bo prowadzi do bezwzględnej germanizacji. Nie trudno zrozumieć dlaczego członkowie Towarzystwa weszli do Eforatu — przejęci ważnością zadania, sądzili, że gdy staną na posterunku, nie dojdzie do jawnej krzywdy, jaka nad młodem pokoleniem zawisła.

Szczęściem dla Towarzystwa, Kamera warszawska ustąpiła miejsca Komisji rządzącej i późniejszej Radzie Stanu. Towarzystwo zaczyna się rozwijać, nie usuwając z planu języka narodowego, układa projekta dość śmiało ułożenia najnowszych dziejów polskich, którym za wstęp posłużyć miało znane dzieło: O ustanowieniu i upadku Konstytucji 3 maja. Inicytatywa wyszła od Komisji rządzącej (II. 30). Wszelkie materyały, mogące posłużyć do napisania tych dziejów, nadsyłało do Towarzystwa. Odezwa przez gazety obfity plon przyniosła. Kraushar wylicza szczegółowo nadsyłane dary (II. 97 i w innych miejscach); były między nimi materyały do Sejmu czteroletniego, powstania Kościuszkowskiego, do dziejów legionów i współczesne. W ciągu istnienia Towarzystwa zebrano materyał ogromny; dziejów nie napisano — a co było zgromadzone — wywieziono! Nie jednokrotnie doświadczali Polacy przykrego zawodu w tym kierunku.

Ogałali prywatne swe zbiory w tej myśli, że w jedno miejsce zebrane, większą korzyść społeczeństwu przyniosą. Tymczasem społeczeństwo korzyści nie odniosło, a zgromadzone w jednym miejscu skarby, łatwiej było wywieść, nie tylko nie dziękując za to, ale jeszcze grożąc. Doświadczyl tego biskup Prażmowski wówczas, kiedy już Towarzystwo nie istniało z następującego powodu: Konsul generalny austriacki du Chet ofiarował Towarzystwu materyały rękopiśmienne, mające związek z Konfederacją barską (v. 16). Gdy w r. 1832 przyjechał do Warszawy Krassowski, bibliotekarz petersburski, ażeby zbiory Towarzystwa i Uniwersytetu wywieść, i, sprawdzając inwentarz, przekonał się, że dziewięciu woluminów, ofiarowanych przez Ducheta w r. 1820, a zawierających w sobie ważną korespondencję generałów rosyjskich, niema — i, że takowe wolumina zabrał za rewersem biskup Prażmowski i nie zwrócił, doniósł o tem Paskiewiczowi. Namiestnik wezwał Gołowina dyrektora Komisji Spraw wewnętrznych, duchownych i oświecenia, aby ten zmusił biskupa do zwrotu, w razie przeciwnym grożąc mu surową odpowiedzialnością za ukrywanie własności rządowej. Zawiązała się korespondencja pomiędzy biskupem, a wzniałowaniem osobami, która trwała przeszło rok, bo biskup był chory, a jego biblioteka w różnych miejscach była złożona, lecz nie ułożona. Gdy, częściowo nadsyłane wolumina, w całości Krassowski odebrał, wówczas Paskiewicz polecił Gołowinowi, aby w imieniu Namiestnika podziękował biskupowi za dobrowolny zwrot owych dziewięciu woluminów.

Kraushar, zwiedzając Bibliotekę publiczną petersburską, znalazł obszerną księgę, ale jedną tylko, pochodzącą ze zbiorów Towarzystwa,

a ofiarowaną przez Ducheta (v. 16. przypisek). Gdzieś więc indziej znajdują się owe tomy, które Krassowski od biskupa odebrał.

Autor, rozporządzając takim ogromnym materiałem, a przeznaczony na czterolecie jeden tom tylko, musiał się z konieczności streszczać; szczególnie, że pragnął równocześnie działalność Towarzystwa ściśle połączyć z życiem społeczeństwa, aby dać nam pełny obraz ówczesnych stosunków naukowych i społecznych, a nawet politycznych. Sprawozdawca więc nie może zajmować się streszczeniem całego dzieła, bo by musiał tom cały napisać — natomiast zaleca każdemu, aby tę pracę przeczytał od pierwszej do ostatniej karty.

* * *

Z mojego osobistego punktu widzenia, praca Kraushara to—Muzeum drogich nam pamiątek; przy jego zwiedzaniu jak i taki przewodnik wskazywać nam będzie przedmioty największej wagi, nad którymi głębiej zastanowić się wypadnie, lecz z punktu widzenia sprawozdawcy—krytyka, nie mogę pochwalić konstrukcji dzieła.

Przejętny czytelnik wobec takiej masy dokumentów, podanych w całości, w streszczeniu, niekiedy w omówieniach, — bez skorowidzów imion i rzeczy; przy takim układzie chronologicznym najróżnorodniejszej treści — zabłąka się i ani w części nie odniesie tej korzyści, jaką odnieść powinien. Przedewszystkiem się znuży.

Żeby nie być gołosłownym, przywiodeę tylko jeden przykład. Uczony X podaje się na kandydata do Towarzystwa i przedstawia pracę swą Y. Sekretarz zapisuje imię autora i tytuł jego pracy. Przewróciwszy dwie, trzy karty — dowiaduje się czytelnik, że rozprawa Y przesłana została do takiego i takiego wydziału. Na posiedzeniu owego wydziału wyznaczono deputację dla dania opinii o wartości pracy — na następnem posiedzeniu deputacja zdaje sprawę, a nasz autor bardzo często podaje w streszczeniu lub w wyjątkach ową relację. Na posiedzeniu prywatnem całego Towarzystwa odczytana jest opinia delegacji o pracy X-a, ponieważ zaś rozprawa Y nie jest warta—kandydatura upada. Na posiedzeniu publicznem prezes, zdając sprawę z czynności Towarzystwa, zawiadamia publiczność zbraną, że X przedstawił rozprawę Y i streszcza opinię deputacji. Otóż, pytam się, czy w dobrze skonstruowanej monografii historycznej jest dopuszczalny taki sposób przedstawienia rzeczy? Dlaczego autor o rozprawie, która na zaznaczenie nawet nie zasługiwała, tylokrotnie wspomina, a nie ogranicza się do przemówienia prezesa, które zazwyczaj *in extenso* podaje?

Niech mi autor daruje, ale do poczytności dzieła owa rozprawa Y. wcale się nie przyczynia, a dla czytającego jest materiałem nużącym, mianowicie wówczas, gdy rozprawa jest treści, przypuśćmy agronomicznej, a czytający jest filologiem, matematykiem lub krytykiem literackim.

Wracając do tej wadliwości konstrukcji, która przedewszystkiem podcina skrzydła takiemu artyście słowa, jakim jest autor, pragnę raz jeszcze podkreślić konieczność dokładnych, drobiazgowych nawet, spisów przedmiotowych.

Mnie osobiście dzieło to interesuje niezmiernie i wdzięczny jestem autorowi za jego ogłoszenie; pisząc o Królewskim Uniwersytecie, ty-

siącznemi węzły połączonym z Towarzystwem przyjaciół nauk, znajduję dla siebie materiał obfity i ważny. Korzystam więc z niego w jak-najszerzym zakresie.

Ten ostatni powód, a także ta ważna okoliczność, że między członkami założycielami Towarzystwa wielu miało wpływ więcej, lub mniej przeważny na losy Uniwersytetu, dzieło Kraushara, od pierwszego tomu poczynając, jest bardzo ważnym materiałem. Nie mogłem więc poprzestać na jednorazowym przeczytaniu owych sześciu tomów; studyowałem każdy ważniejszy fakt, a dopiero wówczas wciągałem go do moich spisów, gdy przeszedł przez próbę krytyczną.

Ten drobiazgowy sposób czytania książki dał mi możność wykrycia niektórych usterek; są to drobiazgi, nie przeżył i w książce mniejszej wartości nie zwrócono by na nie uwagi — lecz w dziele tak poważnem, w pracy tak znakomitej, najmniejsza usterka, przez szacunek dla autora, ani przeoczona, ani pominięta być nie powinna. Wykazuję te usterki chronologicznie, a nie przedmiotowo, bo taki porządek w dziele znajduje.

Na stronie 106 (1) znajdują się dwa portrety: pod jednym podpis: X. Szaniawski, pod drugim: Kalasanty Szaniawski; w erratach wskazano, żeby podpisy przemienić, to jest, gdzie jest Kalasanty powinno być Ksawery. Mnie się zdaje, że oba te portrety należą do jednej osoby, w różnych epokach życia uwiecznionej. Ksawerego dopatrzyć się nie mogę, bo prałat warszawski powinien być w sukni kapłańskiej.

W tymże tomie na str. 188 autor walczy z Bartoszewiczem w obronie Towarzystwa. Bartoszewicz dowodził, że jakkolwiek Towarzystwu nie zbywało na dobrych chęciach, ale zbywało mu na potrzebnej nauce... dla tego odważyli się na pisanie historii, sami nie wiedząc co robią. Autor niesłusznej broni sprawę. Towarzystwo swojemi monografiami historycznemi dowiodło własnej nieudolności. Zresztą i autor w innym miejscu (v. 297) roztacza żale, że Towarzystwo nic nie zrobiło dla historii.

Przez nieuwagę, zapewne korektora, wkradła się na str. 204—205 niejasność. Czytamy tam, że gdy cesarz Aleksander opuścił Wilno i przybył do Grodna, witała go ludność z entuzjazmem, zwiedzał Akademię (!), gdzie dłuższy czas rozmawiał z Poczobutem (!)

W tomie drugim na str. 146 widoczny błąd korektorski, bo Śniadecki dopiero w r. 1806 powołany został na astronoma obserwatora do Wilna.

Autor pisze (II. 182), że Bródowski, sekretarz w ministerjum Sprawiedliwości, wezwany został w r. 1809 do Towarzystwa na członka sposobiącego się, „który właśnie powrócił z Paryża, gdzie się kształcił w szkole mistrza Dawida.“ Jest to niezupełnie ścisłe, bo właśnie w r. 1809 Izba Edukacyjna wysłała Brodowskiego do Paryża, jako stypendystę, gdzie się kształcił w szkole Gerarda, chociaż odwiedzał i malarnię Dawida; powrócił do Warszawy w r. 1815.

Dotychczas znaleźmy wydania Czartoryskiego „Myśli o pismach polskich“ z r. 1801, 1809, 1812 i 1860, autor przywodzi wydanie z r. 1810, zupełnie nieznanne. Należałoby więc autorowi więcej szczegółowo opisać owego białego kruka (II. 227).

Ze w końcu roku 1811 otworzono w Warszawie Szkołę administracyi, to rzeczy znane; lecz dla mnie przynajmniej nowością jest—skład profesorów tej szkoły, podany przez autora (II. 261). Ani Szaniawski,

ani Bandtkie ani Engelke ani Wągrowski nie wykładali w Szkole administracyi. Tam nauczali—niewspomniani przez autora Krysiński i Hoffmann Jan Christian; wspomniani zaś Surowiecki przez kilka tygodni wykladał statystykę.

Ponieważ autor utrzymuje (III. 27), że rozprawa Jasnogórskiego, zresztą bliżej nieznaną, na długo przed Bentkowskim była pierwszym zarysem literatury swojskiej, muszę zanotować, że przed Bentkowskim znana, bo drukiem ogłoszona była historia literatury polskiej Kazimierza Chromeńskiego.

Ktoby chciał dowiedzieć się o zwyczajach i obyczajach stolicy w r. 1816, ten się zawiedzie, jeżeli w miejscowych gazetach będzie się informował; doświadczył tego autor (IV. 40) i dlatego zaleca nam odbyć pielgrzymkę na Kanonię, na posiedzenie Towarzystwa, jako jedynego ogniska, gdzie można spotkać się z oddźwiękami nietylko ówczesnego życia umysłowego całego kraju, ale z robotami nad polepszeniem warunków bytu różnych klas społeczeństwa. Idąc za wskazówkami autora, udaliśmy się na Kanonię, wysłuchaliśmy parę referatów o medalach, kodeksie Dogiela, o wagach i miarach francuzkich, o pomniku Kopernika; wysłuchaliśmy pomysłu nowej pompy ssącej za pomocą palenia; wysłuchaliśmy na jednym z posiedzeń kilku scen z opery włokiej *I virtuosi ambulanti*, odprawiliśmy dwie uroczystości wręczenia medalu: Kopczyńskiemu i Lindemu i w ten sposób upłynął nam rok 1816, ów pierwszy rok Królestwa konstytucyjnego — o zwyczajach i obyczajach oczywiście nie było mowy w tem poważnym gronie na Kanoniach.

Od czwartego tomu poczynając, spotykamy się na każdej niemal karcie z dobrym znajomym—Królewskim Uniwersytetem. I autor również pilnie śledzi stosunek Uniwersytetu z Towarzystwem. Wyliczając członków Rady Ogólnej Uniwersytetu (IV. 90), która miała wszystkie atrybucye rektora Uniwersytetu i dlatego została zwinęta, gdy rektor wybrany został (2. III. 1818)—nie zapomniał autor włączyć do tej rady i Stanisława Potockiego, jako członka czynnego. Tymczasem Potocki, jako minister oświecenia, rozkazał Staszicowi, ażeby taką radę sformował i przedstawił mu członków do zatwierdzenia, zalecając równocześnie Staszicowi, aby na posiedzeniu Rady przewodniczył. Dla Potockiego więc miejsca tu nie było. W składzie profesorskim Uniwersytetu w r. 1817 spotykamy niektóre niedokładności.

Dziekanem wydziału teologicznego, według autora, był Szymański, a profesorem (Pisma Ś-go) Rzymski. W rzeczywistości dziekanem był Szwejkowski, późniejszy rektor, a z ustąpieniem Rzymskiego przybył do Uniwersytetu i katedrę po nim objął Szymański. Między profesorami wydziału lekarskiego opuszczony został Brandt i prosektor Weiss. Lange nie należał do wydziału filozoficznego, lecz do wydziału nauk i sztuk pięknych. Na tym ostatnim wydziale, w r. 1817, gdy był profesorem Aigner, nie było, jak autor podaje, ani Kado, ani Szpilowskiego, a tymbardziej Ritschela, gdyż ten dopiero w roku 1825 wszedł do Uniwersytetu. Gdy Varenne był profesorem malarstwa, Blank zawiadywał gipsami po królu Stanisławie Augustie i do Uniwersytetu nie zaliczał się jeszcze, a Brodowski zaledwie w parę lat później objął katedrę. Bacciarelli nie był dziekanem Wydziału Nauk i sztuk pięknych, lecz honorowym dziekanem oddziału Sztuk pięknych. Że Brodziński nie był profesorem w Liceum Warszawskim, o tem dobrze

wie autor, a więc za błąd korektorów uważać musimy podanie go, jako profesora (iv. 55) Liceum.

Towarzystwo od pierwszych niemal chwil swojego powstania przemyślało o wystawieniu pomnika Kopernikowi. Autor szczegółowo w różnych miejscach znakomitego swego dzieła przywodzi te starania, zabiegi. Staszic, główny promotor tego projektu, zamierzył wystawić ten pomnik przed nowym gmachem, jaki miał być zbudowany dla Towarzystwa na miejscu, gdzie stał zrujnowany kościół Dominikanów Obserwantów. Równocześnie Potocki, mając zamiar kościół ten wyre-stauować i tam umieścić Szkołę Lankarstra, wyrobił sobie postanowienie w Radzie administracyjnej (16. VIII. 1817), że te mury przeszły do rozporządzenia Komisji wyznań i oświecenia. Na pomnik zaś Kopernika, wyznaczył Potocki plac przed pałacem Kazimierowskim, gdzie obecnie zbudowano pałac Biblioteki publicznej. Ztąd zapewne „plac akademicki“ bierze początek—wbrew Cwietajewowi i autorowi (iv. 192), oraz fakt, że Rada administracyjna, przekazując Komisji wyznań i oświecenia mury, nazwała plac, który miał się utworzyć po usunięciu kościoła, „akademickim“. Komisya mogła wystawić na tym placu budynek, kaplice, słowem budowlę, nie mającą nic wspólnego z akademią. Cicha ta walka między Potockim, a Staszicem, która miała pewien wpływ i na Uniwersytet, zakończyła się zwycięstwem Staszica.

Kraushar wspomina (v. 31), że Feliński wezwany został przez Komisję Oświecenia na dziekana (!) i profesora literatury polskiej w Uniwersytecie warszawskim. Minutę tego wezwania czytałem, lecz o dziekanii nie ma tam wzmianki, i to bardzo sprawiedliwie, ponieważ dziekanów wybierał Wydział, a nie rząd wyznaczał.

Ośmielam się zakwestyonować prawdziwość portretu Wawrzyńca Surowieckiego (v. 49). Przedewszystkiem, czynności jego profesorskie w Warszawie były przygodne, chwilowe. Gdy urzędono Szkołę administracyi w r. 1811, przybył z Drezna Surowiecki i ofiarował się prowadzić wykłady statystyki. Ułożył bardzo umiejętny program, kilka tygodni wykładał i opuścił katedrę, zostawszy sekretarzem jeneralnym w Dyrekcyi Edukacyi narodowej, powstałej po zwinieciu Izby Edukacyjnej. W czasie owej chwilowej profesury, nie używał togi, w jakiej jest przedstawiony na portrecie, gdyż tej nieznano jeszcze w Warszawie; zaprowadzona ona została dopiero w r. 1821; nie miał też prawa do łańcucha dziekańskiego, bo nigdy dziekanem nie był. Kogóż więc wyobraża ten portret i zkąd jest wzięty? Wyobraża dziekana Jacka Dziarkowskiego, którego portret z litografii podał autor w innym miejscu (11. 162). Ten portret, rzekomo Surowieckiego przedstawiający, wzięty jest ze znanego obrazu Brodowskiego, malowanego w r. 1828 na zamówienie Rady, a wyobrażającego epizod z dziejów Uniwersytetu, mianowicie akt nadania Uniwersytetowi dyplomu przez cesarza Aleksandra (14. v. 1818).

Też same wątpliwości mamy co do portretu Milego (v. 239) i Szuberta (v. 249), lecz z innych powodów, jakkolwiek i Mile i Szubert nosili togi i łańcuchy dziekańskie. Przedewszystkiem zaznaczam, że i te portrety wzięte są ze wspomnianego obrazu Brodowskiego. Mile był dziekanem tylko przez rok 1826, więc nie mógł przyjmować udziału w owym akcie i rzeczywiście nie przyjmował, a nie był dziekanem i wówczas, kiedy obraz malowano — dla czegoż więc znalazł się wśród Rady Uniwersytetu, kiedy nie był jej członkiem ani w r. 1818, ani w 1828?

Portret ten przedstawia Bentkowskiego, dziekana, i rzeczywiście podobny jest do portretu, robionego w starszym wieku, a przedstawionego przez autora w innym miejscu (III. 59). Co do Szuberta, to możemy powiedzieć, że rzeczywisty jego portret znajduje się na tymże obrazie Brodowskiego, na drugim planie, obok portretu dziekana Szymańskiego, którego autor za Szuberta nam podał. Uzupełniając niniejsze wyjaśnienie, podaję opis wszystkich figur znajdujących się na obrazie Brodowskiego, którego kopię podał autor w tomie IV, na str. 217. Środek obrazu zajmuje cesarz Aleksander i wręcza dyplom prezydującemu w Radzie Uniwersytetu rektorowi Szwejkowskiemu, po za rektorem dziekan Dziarkowski, obok rektora Bandtkie; na dalszym planie, najbliżej cesarza, Bentkowski, obok Szymański, ostatni Szubert; z drugiej strony cesarza Potocki, poza nim Staszic.

Powołanie Lelewela do Wilna w r. 1821 przypisuje autor (v. 144) zwycięztwu zwolenników humaniorów nad zwolennikami nauk ścisłych, którymi kierował Śniadecki. Śniadecki miał spowodować, że Wydział nauk moralnych świecił pustkami. Jest to pogląd wysoce niesprawiedliwy, a krzywdzący Śniadeckiego. Dziś powtarzanie takich bajeczek jest anachronizmem wobec tego, że kwestya profesury Lelewela jest stanowczo i naukowo rozwiązana.

Jak mało obeznany jest autor z dziejami Uniwersytetu Wileńskiego niechaj zaświadczy następujący ustęp (v. 143): „Dopiero gdy rektorem został Malewski (według autora Malewski został rektorem w r. 1819), postanowiono, wbrew oporowi Śniadeckiego (!), ogłosić konkurs na wakujące od lat wielu (!) w wydziale moralnym katedry i w r. 1821 Joachim Lelewel otrzymał katedrę dziejów (o tem autor zanilcza, że tenże Lelewel do końca roku szkolnego 1818 katedrę historii w Wilnie zajmował)“.

Autor utrzymuje (v. 152), że powołany do Uniwersytetu warszawskiego Ciampi, „poświęcił się rzeczom polskim (!), lecz wykładając językiem łacińskim sucho, nie obudził zapału w słuchaczach.“ Pierwszy raz dowiadujemy się o tem. Ciampi za protekcją Sierakowskiego i Capo d'Istria dostał się do Uniwersytetu Warszawskiego na katedrę starożytności rzymskich i wykłady te rzeczywiście niedołącznie przez cztery lata prowadził. Opuszczając Uniwersytet i Polskę, dobrze uposażony (kanonia kielecka), wyjechał do Włoch, jako korespondent Komisji Oświecenia do rzeczy polskich. Lecz i na tem stanowisku nie odpowiedział oczekiwaniom.

Na posiedzenie lutowe Towarzystwa w 1822 r., wprowadza autor (v. 252) gościa, Franciszka Malewskiego z Wilna, „urzędnika wyższego w kancelaryi przybocznej cesarskiej, dyrektora dawnej metryki litewskiej, męża znanego z głębokiej wiedzy i prac piśmienniczych.“ Ten portret nie odnosi się do owego młodzieniaszka, stypendysty Uniwersytetu wileńskiego, który właśnie jechał za granicę po światło i wiedzę, aby zostać znakomitym prawoznawcą, za jakiego przedstawił go nam autor już w r. 1822. Fryczyński, którego autor mianuje Tryczyńskim, także stypendysta, był znanym w przyszłości agronomem.

Na pierwszych stronicach tomu szóstego przedstawia nam autor ówczesny stan kraju (1824 — 1828) wykazuje upadek nauki w Uniwersytecie, związku młodzieży warszawskiej z niemieckimi Uniwersytetami; stąd represalia ze strony rządu, stąd powstanie dozoru szkolnego,

stąd komisya śledcza Nowosilcowa, stąd przeważny wpływ młodzieży na rządy kraju i t. d. Każde zdanie wymaga sprostowania, tembardziej, że ani jednego nie opiera autor na cytatach, skąd te wiadomości są zaczerpnięte; w takim oświetleniu pierwszy raz pojawiają się w druku. Żałujemy, że brak miejsca zmusza nas do streszczenia się. A sprawa jest ważna i należałoby ją szerzej wyłożyć. Mało miejsca, trudna rada. Uniwersytet warszawski w tej właśnie epoce, którą się autor obecnie zajmuje, zaczął się najpomyślniej rozwijać; ostateczną organizacyę wydziałów w tej właśnie epoce ukończono; napływ młodzieży z każdym rokiem powiększał się; w r. 1828 — 1829 osiągnął najwyższego rozwoju.

Powstanie dozoru szkolnego nie było zależne od związku młodzieży warszawskiej z niemiecką, jak również rozporządzenie rządu cesarsko-rosyjskiego co do wzbronienia młodzieży uczącej się przebywania w niektórych Uniwersytetach niemieckich, nie dotyczyło Królestwa, rządzącego się Konstytucyą. Nowosilcow wprawdzie, polegając na doniesieniach Anstetta, przedstawiał W. Ks. Konstantemu potrzebę tej ostrożności, Konstanty zwracał się nawet pośrednio do Rady Administracyjnej, lecz dlaczego Rada nie uwzględniła tej propozycyi — nie wiem; natomiast jest pewnem, że nie wyszło żadne od niej rozporządzenie do Komisji oświecenia, ograniczające swobodne przebywanie młodzieży warszawskiej w Uniwersytetach zagranicznych. Nie znane mi są wypadki, chociażby i pojedyncze, wzbronienia uczącej się młodzieży wyjazdu za granicę w celach naukowych, nie mówiąc już o masowych; natomiast nie ulega wątpliwości, że wszyscy stypendyści przebywali za granicą; że pojedynczym uczniom, którzy podali prośbę o świadectwo pobytu w Uniwersytecie warszawskim dla przedstawienia go w tym zakładzie zagranicznym, w którym petent miał zamiar odbywać dalsze studia — świadectwa takie Uniwersytet wydawał. Przytoczę tylko z więcej znanych osobistości: Aleksandra Wielopolskiego, Zygmunta Krasieńskiego i Henryka Nakwaskiego, którzy przerwali w Warszawie nauki, a kończyli je za granicą.

O komisji śledczej Nowosilcowa istnieje cała już literatura. Dr. Szeliga i Zygmunt Wasilewski, dopełniając się wzajemnie, najdokładniej całą tę działalność wykazali na zasadzie dokumentów urzędowych; wszelkie późniejsze przyczynki drukowane w miesięcznikach, nic nowego nie wniosły, bo wniesić nie mogły, a że się od czasu do czasu pojawiają, to i dobrze — przypominają mniej świadomym rzeczy o tem co gdzieś, kiedyś zdarzyło się. Kto więc chce rzeczywiście poznać prawdę co do komisji Nowosilcowa — niechaj przeczyta, co w tej sprawie pisali — Dr. Szeliga i Wasilewski, tu dodam tylko, że nie te przyczynny, jakie podaje autor, wywołały potrzebę Komisji Nowosilcowa.

Co jednak dla mnie jest zagadkowem, to zapatrywanie się autora na rolę młodzieży, która „ujawnia zanik energii i w męzach przodowniczych w narodzie. Z obawy narażenia swej popularności na szwank, zdają oni kierownictwo (!) losami narodu w ręce młodzieży (1824—1828?)“ (vi. 8). Wszystko to niejasne, na niczem nieoparte; pierwszy raz zdarza mi się spotkać z podobnem zdaniem i z takim oświetleniem. Ale bo też autor używa języka apokaliptycznego;—któż to np. są owi przodownicy: Jan?, Paweł?, Michał? — należało ich wymienić; kto z młodzieży i kiedy mianowicie, zaczął kierować losami narodu? — Przecież

„pan radca“ nie miałby nic przeciw ujawnieniu imion, a czytelnik nie miałby kłopotu, aby w danej epoce wyszukiwać w kalendarzu owych przodowników.

Ponieważ tu mowa o młodzieży, mam prawo przypuszczać, że—o uniwersyteckiej; zapewniam autora, że młodzież w tej opoce siedziała cicho; Kaliszanie w końcu 1825 roku zaczęli się krzątać, a było ich czterech, lecz prędko, bo już w styczniu 1826, siedzieli w kozie, gdzie przez rok okrągły rozmyślali, czy dobrze zrobili, jak zrobili i co robić dalej będą, bo Ks. Konstanty kazał ich wykreślić z albumu Uniwersyteckiego w r. 1827. Poza tem, raz jeszcze powtarzam, było cicho. Nie sądzę, ażeby autor brał na seryo manifestację uczniowską w czasie pogrzebu Staszica i w czasie żałobnego nabożeństwa po cesarzu Aleksandrze u Ś-go Jana; była to sobie manifestacja, jak każdy inny wybryk młodzieży, a nie rzucenie rękawicy przodownikom w narodzie, ani zniewolenie tych ostatnich do oddania w ręce młodzieży losów narodu!

Smuci się autor (vi. 9.), że czynności na katedrach i w ciszy gabinetów uczonych nie mają już takiej ścisłej spójni z otoczeniem (społeczeństwem?); „nie interesują one szerszego ogółu, wpatrzonego w przyszłość, w przewidywaniu wydarzeń oczekiwanych z niecierpliwością gorączkową.“ Sądzę, że to pogląd niesprawiedliwy. Uniwersytet warszawski, jak przed rokiem 1824, tak i po roku 1824, zajmował się, stosownie do statutu, kształceniem młodzieży na urzędników państwowych, a szczególnej spójni, jak nie było wówczas, gdy społeczeństwo nie oczekiwało jeszcze owych wydarzeń, tak nie było i wtedy, gdy zaczęto wpatrywać się w przyszłość. Takie to już było położenie rzeczy; a na inne regulamin nie pozwalał.

Obszerny ustęp, poświęcony sprawie Gołuchowskiego w Wilnie (vi. 70), przed piętnastu laty drukowany, zdaje mi się, jest mniej potrzebny. Obszerniej i na tle właściwem opisano tę sprawę znacznie później, więc ustęp ten traci na aktualności, tymbardziej, że nie organicznie, lecz luźno jest przyczepiony. Jeżeli mimo to zamierzony był przedruk, to należało opuszczonego przed 15-u laty Dowgirda wpisać koniecznie. Dowgird, lat tyle zajmując katedrę filozofii w Wilnie, nie zasłużył na tę krzywdę, jaką mu autor wyrządził.

Że Lelewel d. 6 kwietnia 1825 roku, mógł czytać jakiś referat o historycznej paraleli Hiszpanii z Polską (vi. 148), trudno zaprzeczyć, gdy o tem wyczytał autor w protokółach Towarzystwa; lecz nie rozumiemy co znaczy ten dodatek samego już autora: „W oryginalnej formie tekstu, na dwóch kolumnach druku przedstawionego, uwydatnił historyk podobieństwa i różnice dziejowe obu narodów.“ Zagadkowe jaki to druk widział autor w protokółach Towarzystwa? Dotychczas wiadomem nam było, że owa paralela, wygłoszona była w szeregu prelekcji w Uniwersytecie warszawskim w r. 1820, a pierwszy raz drukowana w r. 1831. Otóż pytamy autora, czy ten druk, to druk powszechnie znany z r. 1831, czy też z roku 1825, dotychczas nieznan?—szkoda, że autor w tak ważnej kwestyi jest lakoniczny, — przecież o Lelewela tu chodzi. Kiedy jest mowa o Lelewelu, to dorzucę jeszcze jedno wyjaśnienie, tyczące się traktatu, czytanego na posiedzeniu Towarzystwa w r. 1825 (vi. 160). Autor pisze: „Prawdopodobnie były to ustępy z książki *Historyk a...* wydanej w Wilnie w r. 1815.“ Nie był to ustęp

z owej „Historyki“, ale specjalna rozprawa, również w r. 1820 napisana i przesłana do Wilna, a drukowana w „Dzienniku warszawskim“ w r. 1826.

Nie możemy pominąć w niniejszem sprawozdaniu i strony obrazkowej. Ktokolwiek wydawał pismo z rysunkami, ten oceni wielką zasługę autora w zebraniu tych setek pięknych, rzadkich portretów i widoków; ten zrozumie ile to starań, zabiegów, ile pieniędzy wreszcie poświęcił nasz historyk, aby tak cenny zbiór ofiarować czytelnikowi.

Jeżeliby kogo dziwiło, że cały komplet aktorów i aktorek umieszczony został w księdze dziejów Towarzystwa przyjaciół nauk, którego członkami nie byli — temu odpowiem, że aktorki miały wpływ nietylko na członków Towarzystwa, ale także i na królewski Uniwersytet! Dzięki aktorom, profesor literatury powszechnej i polskiej Osiński, wyrobił sobie przywilej w Komisji Oświecenia, aby zamiast sześciu etatowych godzin na tydzień, za co pobierał pensję profesora zwyczajnego, mógł poświęcić tylko jedną godzinę tygodniowo na prelekcje; będąc dyrektorem teatru, tak był zajęty, że na większą liczbę godzin nie mógł się zdobyć. Komisja Oświecenia uwzględniła te ważne powody Osiński przez lat kilka oba przedmioty, a po objęciu katedry literatury polskiej, przez Brodzińskiego, — literaturę powszechną tylko przez godzinę na tydzień wykladał.

Spotkawszy więc obecnie portrety aktorów, przekonywamy się, że wpływ tradycji jest silny, niespożyty.

Kończąc nasze sprawozdanie, nie możemy pominąć opinii samego autora o monografii historycznej, jakim warunkom odpowiadać winna, aby mogła wzbogacić nasz dorobek naukowy. Otóż, zgadzając się najzupełniej z autorem, jestem przekonany, że wielkie to dzieło co do objętości, dzieło znakomite, sympatyczne, pięknym językiem kresłone, — niezupełnie tym warunkom odpowiada, gdyż podaje nam tylko jedną stronę działalności Towarzystwa, stronę wewnętrzną; stronę zewnętrzną pozostawił autor dotychczas nietkniętą. Cały dorobek naukowy Towarzystwa, zawarty w Rocznikach, nie jest nam znany w oświetleniu historyka dziejów Towarzystwa. Co te Roczniki zawierają, o tem łatwo się dowiedzieć, przejrawszy spis rzeczy każdego tomu oddzielnie; ale co to dziś warte i czy kiedykolwiek miało jaką wartość naukową — o tem dotychczas nie wiemy.

Dla przykładu weźmiemy jedną tylko z rozpraw, umieszczonych w Rocznikach, mianowicie rozprawę Jana Śniadeckiego o Koperniku. Że miała ona rozgłos ogromny, że tłumaczono ją na język włoski, francuzki, angielski — to prawda; lecz czy tego rozgłosu nie wywołała ta okoliczność, że była to pierwsza biografia znakomitego człowieka, więc nowością rzeczy nęciła? — czy zalety jej literackie przewyższały zwykłą miarę podobnych prac naukowych? — na to wyjaśnienie czekamy.

O tę drugą stronę życia Towarzystwa upraszamy szanownego Autora. Mamy to głębokie przekonanie, że tylko od autora tak znakomitej pracy, jak rozpatrywana monografia, osnuta na źródłach archiwalnych, należy oczekiwać dopełnienia dziejów głośnej Instytucji — przez zużytkowanie jej dorobku naukowego, drukiem ujawnionego.

Bez powyższych dopełnień o całości dziejów marzyć nawet nie można.

Wydanie pod względem druku, papieru, rycin — przesliczne, lecz omyłek drukarskich, jak na firmę Anczyca, za dużo.

JÓZEF BIELIŃSKI.